

Nr. 22. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. 15. Listopada.

WYLEWY WISŁY.

Wezbranie rzeki okropna to klęska dla całej nadbrzeżnej okolicy! Gdy woda wzbierze i wystąpi z koryta, rozlewa się po przyległych łąkach i polach, zrywa mosty, niszczy groble i tamy, zabiera i niesie dalej wszystko co jej zawadza w tym straszliwym pochodzie, nawet chaty rybaków podmula i w gruzy zamienia, lub porywa i pędzi daleko. Częstokroć rybak wraz z rodziną spoczywa spokojnie nie domyślając się, nie przeczuwając jakie mu zagraża niebezpieczeństwo, gdy oto nagle postrzega że jego chata płynie wezbraną rzeką. Przerażony, daremnie szuka środków ocalenia, wynosi dzieci

na szczyt chaty, ogląda się niespokojnie czy Bóg nie zeszle mu jakiej litościwej ręki, co by mu ocalenie przyniosła, miotany rozpaczą woła w niebogłosy ratunku — niestety! wszystko to najczęściej napróżno. Ludzka pomoc nie zdoła go uratować, bo któż się odważy walczyć z rozhukanym żywiołem? Potrzeba by cudu — tak tylko cudu, inaczej zginie wraz z rodziną w nurtach rzeki.

Wezbranie i wylew wód wydarza się w mniejszym lub większym stopniu prawie corocznie, najczęściej na wiosnę lub w jesieni.

Pierwszą historyczną wzmiankę o wielkim wylewie wód w naszym kraju podają nam kroniki pod rokiem 1221. Okropny to był rok tak dla wieśniaków, jak dla mieszkańców miast nadbrzeżnych. Od świąt Wielkanocnych do późnej jesieni padały gwałtowne i prawie nieustanne deszcze. W skutek tego wezbrały wody w całym kraju, i nastąpiły straszne wylewy tak, że znaczna przestrzeń kraju wyglądała jak jedno wielkie jezioro. Zasiewów jesiennych nie można było zebrać, a i wiosenne zostały całkiem zniszczone. Nastał głód i tysiące ludzi wymarło śmiercią straszliwą; nadto z powodu popsutej paszy wybuchła zaraza na bydło i połowa ludności wiejskiej straciła cały swój dobytek. Wreszcie powstało powietrze morowe, które srożyło się przez lat trzy, i znaczną przestrzeń kraju zamieniło w pustynię. Toż samo, acz w mniejszym stopniu, powtórzyło się w roku 1253. Deszcze padały nieco króciej jak w roku wyżej wspomnionym, ale także bardzo długo, bo od Wielkiejnocy do końca lipca. Pola i łąki, mianowicie w nizinach, były całkiem zalane wodą, tak że statkami po nich pływano.

Wisła tak mocno wezbrała w roku 1270, że w Krakowie cała przestrzeń między Krzemionkami a kościołem św. Stanisława na Skałce, to jest, gdzie są przedmieścia Kazimierz i Stradom, była całkiem zalana wodą.

Niezmierna także powódź nastała w r. 1475 w skutek kilkodniowych deszczów w pierwszej połowie lipca. W Kra-

kowie Wisła jak zwykle zalała Kazimierz, Stradom i inne przedmieścia, oraz kościoły i domy, i zerwała wszystkie mosty, łączące miasto z okolicą za Wisłą leżącą.

W roku 1495 wylew Wisły był tak wielki że go powszechnie nazywano potopem.

Straszną była także powódź w roku 1635, woda bowiem tak się podniosła że np. w Warszawie na przedmieściu Pradze widać było tylko dachy domów, a pola i wioski na mil cztery w około stały pod wodą.

Wezbranie Wisły w r. 1731 zalało prawie całe Żoławy w okolicy Gdańska.

W roku 1736 z powodu okropnego wylewu wód, który spustoszył cały kraj, nakazano modły publiczne we wszystkich kościołach na uproszenie zmiłowania Bożego i odwrócenie tej klęski.

Znowu w r. 1774 wylała Wisła i tysiące szkód w całym kraju wyrządziła. Kraków i Warszawa ucierpiały najwięcej. Woda zabrała z sobą domy nadbrzeżne, złożone na galarach zboże i inne przedmioty handlowe, wielkie zapasy drzewa opałowego itd. jednak nie dosięgła tej wysokości co w latach dawniejszych.

W r. 1778 Wisła wezbrała pod Warszawą d. 16 kwietnia na 13 stóp, a w roku następnym d. 7 kwietnia na 15 stóp. Takiejże wysokości dosięgła w roku 1806 i następnych.

Znaczna to wysokość, ale zdarzają się wypadki że woda wzniesie się jeszcze wyżej. Oto w roku 1782 dnia 12 stycznia w Stężycy zrobił się zator i lody stanęły sztorcem w korycie Wisły, woda szybko wzbierać zaczęła, i w kilku godzinach dosięgła wysokości 25 stóp, rozlała się po polach, i w krótkim czasie 36 wsi nadbrzeżnych, i 6 miasteczek: Gniewoszów, Gołąb, Bobrowniki itd. stanęło pod wodą. Król Stanisław August dowiedziawszy się o zalaniu Gołębia , wysłał do Stężycy majora od pontonjerów Deibela dla obmyślenia środków zaradczych. Deibel kazał przerąbać lód okrywający koryto Wisły,

i przekonał się że pod lodem nie było wcale wody. Powstała obawa czy Wisła nie zmieni kierunku. Dla zapobieżenia temu wyprawiono z Warszawy do Stężycy artylerję z działami dla rozbicia lodów kartaczami, lecz nim działa nadeszły, nastała odwilż, lody stopniały i woda powróciła do łożyska.

Jeden z najstraszniejszych wylewów, był w roku 1813. W Warszawie i na Pradze kilkanaście osób poniosło śmierć w nurtach Wisły. Prawie wszystkie wsie leżące blisko Warszawy poniosły nieocenione straty. Jeziorna najwięcej ucierpiała. W Łazienkach królewskich woda szczęściem nie dostała się do pałacu. Więcej jeszcze z powodu tego wylewu ucierpiał Kraków. Dnia 26 sierpnia Wisła wezbrała nagle w czterech godzinach i zalała Podgórze, Zwierzyniec, Błonie, Podzamcze, Stradom, Kazimierz, oraz wsie Dąbie i Grzegorzki. Zerwane prądem wody chaty i większe domy rozbiły dwa mosty murowane, łączące Kraków z Kazimierzem i Podgórzem. Woda zalała także klasztory XX. Bernardynów, Kapucynów i Misjonarzy. Szybko wznosząc się w górę wkrótce dosięgła szczytu dachów, zabierała domy z ludźmi, co dostawszy się na wierzch budynków wołali głosem rozpaczy o ratunek, którego dać im było niepodobna, podmuliła i zamieniła w gruzy wiele nawet murowanych domów, uniosła nieskończenie wiele sprzętów wszelakiego rodzaju, drzewa, bydła itd.

I w naszych już czasach niejednokrotnie Wisła zalewała całe okolice, zabierając domy i dobytek ludziom, niszczyła plony w polu na kilkanaście mil w około. Aby się ubezpieczyć przed takiem nieszczęściem, sypią wały wzdłuż koryta rzeki, które tamują wylew wody i tym sposobem ochraniają pola od zniszczenia.

Do was dziateczki, należy prosić Boga aby na przyszłość odwracał od nas takie okropne klęski, co w jednej chwili szeroką przestrzeń kraju zamieniają w pustynię i tysiące osób narażają na utratę życia i mienia.

ZARYBEK.

Było to w wieczór — Słońce zachodzące
Rzucało z boku promienie palące;
Z srebrzystej wody, nogami we fali,
Rybacy ciężkie sieci wyciągali.

Na brzegu stawu stał ojciec ze synem,
Rybom się w sieci przypatrując sinym;
Daremnie ryby w matni się rzucały,
Ten co je złowił ma serce ze skały!

Lecz nie — patrz! oto już sieć na murawie —
Rybacy w koło siedzą i ciekawie
Patrząc na zdobycz, rybki drobne, młode,
Jednę za drugą rzucają znów w wodę

— Tatku — zawołał Staś — to dziwni ludzie!
Łowili ryby w takim znoju, trudzie,
A najładniejsze, jakby dla zabawki,
Znów do tej samej rzucają sadzawki!

— Nie śmiej się dziecię — odparł ojciec siwy —
Zawsze tak czyni gospodarz prawdziwy,
By rosło zboże rzuca w ziemię ziarno —
W toń rzuca rybkę, by nie poszła marno.

Ona nie zginie mu w tym cichym stawie,
Za rok, dwa lata, legnie znów w tej trawie,
A wtedy rybą będzie już dorosłą,
Jakiej rybackie wymaga rzemiosło.

I z ludźmi tak jest — Pamiętasz jak łzawy
Żegnałeś braci, gdy ciągnąc w bój krwawy,
Gdzie rwie się serce każdego Polaka,
Nie wzięli ciebie, dziesięciorocznika.

I tam jest połów taki jak w tym stawie:
Co silne, rosłe, legnie na murawie,
Jako te ryby z wielkiej wzięte sieci —
By zbawić matkę, krew przeleją dzieci!

Lecz co nie źrzałe, co jeszcze zbyt młode,
Jako zarybek idzie jeszcze w wodę,
Gdzie mu pilnować książeczki i pióra,
Nim na polskiego urośnie piechura.

J. Sęp.

ŻUBR.

Słyszeliście już zapewnie młodzi przyjaciele, że oprócz niezliczonego mnóstwa zwierząt, tak dziwnie rozmaitych pod względem postaci, sposobu życia i wrodzonych skłonności, bądź dziko bądź w oswojeniu i pod opieką człowieka w jego domowych zagrodach żyjących, było dawniej wiele innych jeszcze gatunków, które dziś nigdzie już nie spotykają się żywe, a o których istnieniu przed wiekami świadczą tylko bądź pojedyńcze ich części, jakoto: kości, rogi, skorupy, niegdyś pokrywające ich ciało, bądź całe ich ciała skamieniałe, lub odciśnięte w pokładach gliny, piasku w jednolitą masę zlepionego i t. p. Zwierzęta te znikły z powierzchni ziemi, lub z wód, które ją oblewają, przed wielu a wielu wiekami, skutkiem gwałtownych zmian, jakim ta nasza ziemia ulegała kolejno, pod względem temperatury, czyli stanu ciepła lub zimna, natury powietrza otaczającego ją i stanu wierzchniej swojej skorupy. Inne jeszcze rodzaje i gatunki wyginęły w późniejszych już czasach, powolnie i stopniowo, skutkiem albo braku dostatecznej żywności, albo prześladowań od innych mocniejszych zwierząt, co je na pożywienie dla siebie zabijały, lub człowieka, co dla mięsa, skóry, a czasem tylko swojej zabawy na nie polował.

Przykłady takiego wytępienia całych rodzajów zwierząt, mamy i w bliskich nam zupełnie czasach, i mielibyśmy je coraz jeszcze nowe, gdyby nie starania i znaradcze środki przedsiębrane obecnie dla ocalenia od zupełnej zagłady pojedyńczych gatunków, które dawniej nierozważnie, bez potrzeby wytępiano. Między takiemi właśnie zwierzętami które blisko już były zupełnej zagłady przez zbytnie ze strony człowieka prześladowanie i wzrastający brak odpowiednich miejsc na zamieszkanie, jest jedno, dla którego jedynem na całej ziemi schronieniem jest na Litwie puszcza, zwana Białowieską.

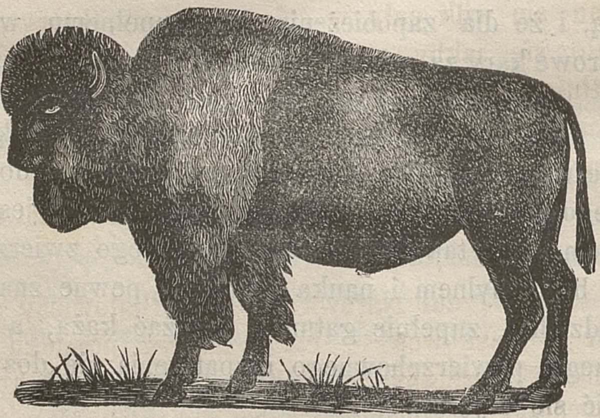
W tym lesie, jakiemu u nas pod względem gęstości i dzikości nie ma równego, żyją dotąd Żubry albo Tury, i to tak nielicznie, że liczba ich corocznie ściśle może być obrachowaną, i że dla zapobieżenia ich zupełnemu wytępieniu bardzo surowe kary za zabicie każdego z nich są wyznaczone.

Żubr albo Tur, jak to na załączonym tu rysunku widzicie, na pierwszy rzut oka dużo ma podobieństwa do naszego zwyczajnego wołu, i niegdyś też sądzono że jest dzikim krewniakiem tego tak użytecznego domowego zwierzęcia; ale zdanie to było mylnem i nauka wskazuje pewne znaki, które go za oddzielny zupełnie gatunek uważać każą, a znaki te już z samego powierzchownego rozpatrzenia się dosyć wyraźnie ocenić się dają.

Żubr ma rogi czarne, miernie długie, okrągło naprzód podane, końcami w górę zwrócone, czoło szerokie, wypukłe, kędzierzawe, piżmem woniejące, podgarle zaokrąglone, bez obwisłej skóry jaką widzimy u bydła domowego, na podgarlu i mostku u młodych włos długi nakształt brody, szyja krótka, głowa nisko osadzona, na karku grzywa krótka w górę sterząca, tułow na przodzie wysoki, silny, w tyle zeszczuplony, grzbiet z przodu łukowato wzniesiony, ku tyłowi spadzisty, ogon od połowy mocno kiściasty; sierść na ciele w zimie gęsta, wełnista, miernie długa, śliska, brunatna, w lecie krótka, gładka, czarno połyskująca. Broda, kiść ogonowa i kopyta

zawsze czarne, oczy duże, wypukłe, z żrenicą pionowo podłużną w środku zwężoną, co dowodzi że żubr widzi zarówno w dzień jak w nocy.

Piękne dwa okazy tego zwierzęcia można widzieć w Warszawskim gabinecie zoologicznym; są to dwie sztuki ubite za wyraźnem pozwoleniem rządu, w dniach 15 i 16 lutego 1830 r. dla umieszczenia w tym gabinecie. Polowanie to opisał w urzędowym raporcie, członek b. Warsz. Tow. Przyjaciół nauk Felix Paweł Jarocki, dyrektor gabinetów historji naturalnej w Warszawie. W raporcie tym zamieścił on obszerny opis puszczy Białowieskiej, tego ostatniego schronienia żubrów.



ŻUBR czyli TUR.

W tym gęstym lesie, w odległości ośmiu mil od Brześcia Litewskiego, obejmującym około 17 mil kwadrat. powierzchni, choduje się pod pilną strażą zaledwie kilkaset sztuk tych pięknych zwierząt, których dawniej pełno być musiało we wszystkich lasach Polski i Litwy, bo w dawnych kronikach i powieściach częste spotykamy opisy polowania na te zwierzęta, których dzikość, siła, piękna skóra i rogi były niemałą zachętą dla naszych dzielnych ojców do wyprawiania na nie

łowów, przedstawiających i urok niebezpieczeństwa i powab pięknej zdobyczy. Początki założenia Wilna, świetnej przez tyle wieków stolicy Litwy, łączą się z wspomnieniem tych półrycerskich łowów. Książę Gedymin, jeden z bohaterów i mądrych władców pogańskiej jeszcze Litwy, polując w miejscu gdzie dziś wznoszą się starożytne kościoły i gmachy Wilna, po całodziennych utrudzających łowach ubił własną ręką niepospolitej wielkości Tura, którego rogi tak były wielkie i piękne, że z nich zrobiono później księciu piękne godowe puhary.

W tem samem miejscu gdzie mu się udało położyć tego króla lasów, książe kazał rozbić swój namiot i po trudach polowania i obfitej zapewnie uczcie udał się na spoczynek.

Śnił mu się wilk cały w żelazo odziany, który gdy zawył zdawało się jakby stu wilków wyło — Stary wieszcz kapłan wytłumaczył ten sen księciu, że ma postawić w tem miejscu miasto, które w przyszłości wielkością i sławą sto innych przewyższy. W skutek tego założył Gedymin Wilno w miejscu, gdzie zabił tura i miał sen o żelaznym wilku.

Nad brzegiem rzeki Narewki we wsi Białowieży stoi pomnik z białego piaskowca — Napis na tym pomniku świadczy że w dniu 27 września 1752 roku, August III król polski, elektor saski, z królową i królewicami Ksawerym i Karolem odbyli tu polowanie i zabili 42 żubry i 13 łosiów. Dalej wypisane są nazwiska gości i urzędników łowieckich, którzy mieli udział w tem polowaniu, a między licznym szeregiem tych nazwisk ledwie kilka znajduje się polskich, reszta wszystko Niemcy. Były to ostatnie tak wspaniałe a raczej bezużytecznie wytępiające zwierzynę, łowy w tej puszczy. Stanisław August Poniatowski polował wprawdzie kilka razy w tych lasach, ale jego łowy były gospodarniejsze i ograniczały się na ubiciu kilku sztuk.

Od wielu lat już, żeby resztek tego pięknego gatunku zwierząt nie płoszyć i dopomódz do ich rozmnożenia

się, nie tylko w samej Białowieskiej puszczy, ale nawet w sąsiednich jej prywatnych lasach, wzbroniene są wszelkie hałaśliwe łowy i co rok też liczba dozorowanej przez miejscową straż leśną zwierzyny znacznie się powiększa, i wkrótce możeby można upowszechnić żubry i po innych okolicach, gdyby nie zbyt nieoględne wycinanie lasów, które nie tylko dla żubrów, ale nawet dla lisów i drobnej zwierzyny nie będą dostatecznego dawały schronienia. Smutna to rzecz moje dzieci, kiedy kto w swoim domu tak gospodarzy że bez pomiarkowania używając tego, czem go Bóg obdarzył, nie myśli o tem, żeby i na przyszłość coś pozostawić.

J. B. W.

MATEUSZEK.

(Dokończenie.)

II.

Minęło lat górą dwadzieścia. W wiosce, którą opuścił z bolem serca biedny sierota Mateuszek, nie zmieniło się nic, tylko drewniany kościołek pochylił się ku ziemi, a ludzie postarzeli się mocno.

Ów zły Jacek, który był powodem że biedny Mateuszek poszedł w świat daleki, nie poprawił się wcale, mimo że lat dwadzieścia mu przybyło i wzrósł już na mężczyznę. Jego matka nie była szczęśliwą, bo niedobry Jacek objąwszy gospodarstwo, marnotrawił wszystko i najgorsze życie prowadził, a nawet matki swej szanować nie chciał.

Stara Marta, co to tak litościwie przyjęła sierotę w swoją ubogą chatkę, jeszcze bardziej się postarzała. Włos jej zbielał jak mleko, głos drżał, a cała jej postać pochyliła się ku ziemi. Nieraz gdy biedna staruszka nie miała drew na kominek lub trawy dla krówki, mówiła ze łzami w oczach:

— Niema Mateuszka!...

I inni ludzie, którym Mateuszek pomagał w robocie swemi drobnemi rączętami i usłużył we wszystkiem, o co go tylko poprosili, mówili z żalem:

— Niema Mateuszka!

Nieraz gorzko zapłakała stara Marta, gdy jej wspomniano o sierocie i mawiała wśród łkania:

— Biednam i nieszczęśliwa i niema nikogo ktoby mi dopomógł w mej zgrzybiałej starości! Ale jakieś mam miłe przeczucie że nim umrę, obaczę biednego sierotę w lepszej doli i i on mi dopomoże..

A Mateuszek, biedny sierota, tułał się się gdzieś po szerokim świecie, sam jeden bez pomocy i przytułku...

Tak się miały rzeczy gdy naraz wybuchła wojna przeciw Moskalom. Polacy chwycili za broń, by wypędzić wrogów z ojczyzny i wszczęła się walka, która krwią zalała polskie łany...

Wioska, o której mówimy, leżała właśnie w okolicy, w której toczył się bój najzawzięciej. Pewnego dnia przywieziono do wioski rannych Polaków, a poczciwi wieśniacy porozbierali ich do swoich chat, a nawet stara Marta, choć tak bardzo była uboga, wzięła jednego do siebie i pielęgnowała go jak syna. Tylko Jacek nie chciał żadnego w dom przyjąć i odgrażał się na tych co bronili polskiej ziemi...

Zaledwie kilka dni minęło od czasu jak ranni Polacy przybyli do wsi, kiedy Jacek wysunął się w nocy z swej chaty, by się udać do obozu moskiewskiego.

— Przepiłem wszystko, co matka moja posiadała — mówił sam do siebie, idąc jak zbrodzień wśród czarnej nocy — potrzebuję pieniędzy a Moskale zapłacą mi za głowę każdego rannego, którego im wydam!

Tak złym człowiekiem stał się ten Jacek, że nie wahał się nawet tak strasznej popełnić zbrodni.

Idąc tak Jacek z zbrodnią w sercu przez wieś, przypomniał sobie nagle koło szkoły, czego on przed dwudziestu laty dopuścił się w tem miejscu przeciw sierocie. I zdawało mu się że widzi Mateuszka jak mu się krew leje z rozbitego czoła i mówi do niego:

— Jacku! opamiętaj się, bo straszna kara Boża cię czeka! Chcesz swych własnych braci rannych i bezbronnych wydać na pastwę okrutnym wrogom?!

Zadrzał Jacek i włosy mu stanęły mu na głowie — lecz wkrótce ochłonął ze strachu i mruknął z szatańskim śmiechem:

— Niema Mateuszka!...

I pobiegł dalej i niebawem stanął w obozie moskiewskim...

I tej samej jeszcze nocy ćma wrogów wpadła do cichej wioszczyny...

III.

Moskale rzucili się z dzikim krzykiem na chaty, które im wskazał Jacek, by wymordować biednych rannych Polaków!

Ale Boża opatrzność czuwała nad tymi, co krew swą przelewali za ukochaną ojczyznę...

Jeszcze nie zdołali Moskale dokazać swego okrutnego zamiaru, gdy dała się słyszeć trąbka wojenna i do wsi wpadli ułani polscy!...

Moskale poczęli uciekać, lecz prawie wszystkich dopędzili na swych szybkich koniach ułani i wzięli ich do niewoli.

Pojmani Moskale wyznali że to Jacek sprowadził ich do wsi.

Jacek tymczasem siedział sam w chacie i straszne wyrzuty trapiły jego sumienie. Naraz weszło do jego chaty dwóch polskich ułanów i zaprowadzili go przed dowódzcę. Jacek szedł blady jak trup — bo widział jak okropnej dopuścił się zbrodni...

Nareszcie stanął przed polskim pułkownikiem. Był to piękny, młody mężczyzna, mundur polski stroił go wspaniale, a na piersiach błyszczał krzyż za waleczność.

Jacek popatrzył się na pułkownika obłąkanym wzrokiem, zbladł jak kreda i zatoczył się... Twarz dowódzcy była mu znana — widział ją gdzieś dawno, bardzo dawno...

Gdy Jacek ocknął się ze zgrozy, ujrzał się pod silną strażą a nogi i ręce jego były okute... Przed nim stał długi stół a za stołem siedzieli polscy oficerowie — na pierwszem miejscu ów młody pułkownik. Był to sąd wojenny, który miał wydać wyrok na złoczyńcę, za to że wydał swych braci w ręce okrutnych wrogów. Sąd wojenny skazał Jacka na śmierć.

Zgromadziła się cała gromada wiejska, by być przy odczytaniu wyroku. Ostatnie jego słowa były: W i n i e n ś m i e r c i p r z e z p o w i e s z e n i e!

Gdy odczytano te słowa, jakaś kobieta wysunęła się naprzód w najwyższej rozpaczy. Była to matka Jacka. Popatrzyła na pułkownika błagalnem okiem, jakby go chciała prosić o łaskę dla syna — lecz nagle zachwiała się i zawołała:

— Mocny Boże! ta to.....

Matka Jacka nie dokończyła swych słów, bo zemdlała i upadła na ziemię. Nikt jej nie pospieszył na pomoc — tylko jakaś stara bardzo kobieta wystąpiła z tłumu, by odtrzeźwić biedną matkę. Była to stara Marta. I ona spojrzała na pułkownika i zawołała w radośnem zachwyceniu:

— Mateuszek!

Na te słowa poskoczył pułkownik i chwyciwszy za rękę starą Martę, pocałował ją z uniesieniem i zawołał:

— Tak, ja jestem Mateuszek!...

Między zgromadzonymi wieśniakami powstał szmer zdziwienia, a potem nastąpiła głucha cisza. Wśród niej odzyskała przytomność i matka Jacka.

— Tak, ja jestem Mateuszek! mówił pułkownik — ten sam Mateuszek, biedny, bosy sierotka, co biegał po tej wsi często o głodzie i chłodzie... A oto moja ostatnia pamiątka, którą z tej wioski w świat z sobą wziąłem!

Tu wydobył pułkownik ową książkę z obrazkami, którą przed dawnemi laty otrzymał na egzaminie od księdza proboszcza... Znajdowały się na niej dotąd ślady krwi, która wyciekła z rany zadanej mu przez Jacka.

— Owego dnia kiedy Jacek i jego matka tak niegodnie postąpili sobie z biednym sierotą, puściłem się w świat daleki... Bóg mię nie opuścił, znalazłem dobrodziejów, którzy mi domogli, pracowałem usilnie i oto dziś stoję przed wami! Ale aby pamięć Mateuszka na zawsze została wam miłą, ułaskawiam tego zbrodniarza! Chcę być i teraz Mateuszkiem który wszystkim przebacza, wszystko zapomina... Jacek popełnił zbrodnię okropną, bo zdradził ojczyznę, lecz karać go nie chcę, stokroć haniebniejszą karą niż śmierć będzie dlań wzgarda jego rodaków...

I Jacek został uwolnionym...

A ludzie patrzyli z najwyższą czcią na pułkownika i szeptali z podziwieniem:

— Mateuszek!

IV.

I znowu lat kilka minęło... Stara Marta, której pułkownik zapewnił dobry byt na starość, umarła. — Niebawem umarł i Jacek gryziony wyrzutami sumienia i pogardzony przez wszystkich. Za nim poszła w grób i jego matka.

Pewnego pięknego wieczora zajechał do wsi piękny powóz i stanął przed wiejskim cmentarzykiem.

Z powozu wysiadł jakiś pan poważny, a twarz jego była pełna blizn, które po głębokich ranach pozostać musiały.

Nieznajomy poszedł na cmentarz i ukląkł nad grobem starej Marty... Tu modlił się gorąco, ucałował ziemię a łzy zabłysnęły mu w oczach!

Rozciekawieni wieśniacy zgromadzili się w znacznej liczbie koło cmentarza i patrzyli z ciekawością i uszanowaniem na obcego. Nieznajomy powstał z grobu i zbliżył się do ludzi.

Lecz ci zaledwie go spostrzegli, zawołali z czcią:

— Mateuszek!

Wtedy odezwał się obcy:

— Tak, kochani moi bracia! Ja jestem Mateuszek. Spotykam się po raz drugi z wami, ale już was nie porzucę!... Ojczyzna dostała się nanowo w ręce wrogów, będę między wami czekał dopóki mię znowu do boju nie zawoła... Kupiłem tę wieś i u was mieszkać będę!...

A wieśniacy zawołali z radością:

— Niech żyje nasz dziedzic Mateuszek!

I odtąd zamieszkał Mateuszek na wsi... Kochał wieśniaków jak braci, a oni go kochali jak swego ojca i opiekuna. Nie było biednego, któregoby nie wsparł Mateuszek, a imię jego było pociechą dla wdów i sierot...

Wszędzie z najwyższem uszanowaniem i miłością mówiono o Mateuszku.

A gdy zachorował mocno, to cała wieś zbiegła się do ukochanego dziedzica z smutkiem, a ubodzy płakali rzewnie jak nad ojcem...

Umierając kazał sobie położyć na grobie pomnik z następującym napisem:

TU LEŻY MATEUSZEK.

GĘSI.

(Bajka.)

Ni ztąd ni zowąd nagłą zdjęte trwogą,
Gęsi pod bliskim zerwały się lasem,
I wielką przez wieś uciekając drogą
Z strasznym leciały hałasem.

— Coż to za głupstwo z takim wrzaskiem wpadać?
Tak zlękły kogut z wiosłej woła tyki —
Nikt was nie myśli ni gonić, ni zjadać,
Po co więc, po co te krzyki?

„Alboż my wiemy co się dzieje z nami?
Tak rzecze jedna pędząca w odwodzie —
My tylko lecim za temi gęsiami
Które tam krzyczą na przodzie."

Fr. M.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna **Aniela Zawadzka.** Drukiem K. Pillera 1863.